

E-podpis to nie gadżet.

Cyfrowe stwierdzenie tożsamości.

Za wysoka cena to podstawowe ograniczenie wzrostu liczby użytkowników podpisu elektronicznego.

Dane w postaci elektronicznej, opatrzone bezpiecznym e-podpisem, weryfikowanym za pomocą ważnego kwalifikowanego certyfikatu są równoważne pod względem skutków prawnych dokumentom opatrzonym podpisami własnoręcznymi – taki jest zapis ustawy o podpisie elektronicznym z 18 września 2001 r. Podpis elektroniczny to ogólna nazwa różnych technik potwierdzania autentyczności dokumentu i tożsamości jego nadawcy przy wymianie informacji drogą elektroniczną. Podpis elektroniczny musi spełnić te same warunki co podpis zwykły, tzn. powinien być trudny do podrobienia, stwarzać możliwość weryfikacji i trwale łączyć się z dokumentem. Chodzi o to, żeby odbiorca miał pewność, że dokument wysłany drogą elektroniczną i podpisany e-podpisem pochodzi od konkretnego nadawcy, oraz aby wiadomość nie uległa zmianie. Gwarantuje to zaszyfrowany, indywidualny numer – certyfikat umieszczony na plastikowej karcie.

– *Certyfikaty wydaje się na rok, względnie dwa lata. Po tym czasie można je odnawiać* – informuje Jan Jarus z poznańskiego ZETO.

Cenny znak

Kilka lat temu certyfikat kosztował około 1 tys. zł, dziś kompletny zestaw do składania podpisu elektronicznego to wydatek mniej niż 300 zł. – Te koszty można jeszcze obniżyć, bo wielu przedsiębiorców ma już czytnik i kartę kryptograficzną i np. do rozliczeń z ZUS potrzebuje jedynie certyfikatu kwalifikowanego za mniej niż 200 zł. Pamiętajmy też, że za odnowienie certyfikatu trzeba zapłacić 95 zł – zaznacza Elżbieta Włodarczyk, dyrektor departamentu usług certyfikacyjnych w spółce Krajowa Izba Rozliczeniowa. Jednak zdaniem Mariusza Pawłowskiego, partnera w firmie Optima Partners, czynnikiem najbardziej ograniczającym możliwość upowszechnienia podpisu elektronicznego jest właśnie jego koszt. Firma, decydując się na wdrożenie podpisu elektronicznego, musi kupić dla każdego posługującego się

nim pracownika zestaw do składania bezpiecznego podpisu elektronicznego wraz z certyfikatem. – Duży bank, który chciałby wdrożyć podpis elektroniczny, musi liczyć się z zakupem nawet kilkunastu tysięcy takich zestawów. Jeśli założymy, że zatrudnia tysiąc pracowników, jednorazowo inwestycja ta wyniesie 300 tys. zł. A to jeszcze nie koniec wydatków. Trzeba bowiem pamiętać o konieczności odnawiania – zauważa Mariusz Pawłowski.

Spore zainteresowanie

Dotychczasowa praktyka wykazuje, że co roku liczba wydawanych certyfikatów się podwaja. Elżbieta Włodarczyk szacuje, że korzysta z niego od kilku do kilkanastu tysięcy firm. – Prawdziwa rewolucja czeka nas jednak w tym roku. Głównie ze względu na przepisy ustawy o informatyzacji, która nakłada na przedsiębiorców zatrudniających powyżej 5 pracowników obowiązek prowadzenia rozliczeń z ZUS wyłącznie przy wykorzystaniu certyfikatów kwalifikowanych. Obowiązek wchodzi w życie 21 lipca 2008 r. Oznacza to, że certyfikat będzie musiało w najbliższym czasie zakupić kilkaset tysięcy przedsiębiorców – twierdzi Elżbieta Włodarczyk.

– *Kilkadziesiąt tysięcy firm w całym kraju jest zobowiązanych do uzyskania certyfikatu kwalifikowanego dla potrzeb programu Płatnik, a parę tysięcy urzędów miast i gmin będzie musiało nabyć certyfikaty niezbędne do wymiany informacji z innymi urzędami administracji publicznej oraz obywatelami, którzy korzystać będą z Elektronicznej Skrzynki Podawczej (ESP)* – wylicza Jan Jarus.

Upowszechnienie podpisu elektronicznego w Polsce nie jest niestety proste, choćby z powodu zbyt niskiego poziomu informatyzacji państwa. – Jak wiadomo, administracja publiczna miała być przygotowana do obsługi dokumentów opatrzonych bezpiecznym podpisem elektronicznym już w 2007 r. Jednak w tym terminie nie zdążyła się przygotować, więc przesunięto go na 1 maja 2008 r. Do tego czasu pozostały już tylko dwa miesiące, a nadal wiele instytucji publicznych nie jest przygotowanych na posługiwanie się podpisem elektronicznym i wciąż korzysta z tradycyjnej dokumentacji papierowej – zauważa Mariusz Pawłowski.